

— Tak, tutaj. Mam wrażenie, że chciano sobie zażartować z nas. Dajno mi tę depeszę.

Wyjąłem papier i podałem mu go, patrząc na niego ze zdziwieniem.

Przy okienku biura telegraficznego przekonałem się dopiero o znaczeniu słów Tharpsa. Przekonał się bowiem, że telegram wysłany do mnie z Lyonu był sfałszowany.

— Co to ma znaczyć? — zawołałem zdumiony.

— Byłbym się założył, że tak jest w rzeczywistości — odparł Tharps — Chciano się pozbyć ciebie i w tym celu próbowano wyciągnąć cię do Lyonu. Ludovic Marmont zaczyna działać. Przyznać trzeba, że nie traci czasu na próżno.

— No i cóż, Synhamie, jedziesz, czy zostajesz ze mną? — zapytał po chwili.

— Skoro ta depesza jest sfałszowana...

— Byłem o tem przekonany, zanim otrzymałem tutaj dowód prawdziwy. — rzekł Tharps, wzruszając ramionami — Popatrz uważnie na pieczętki.

— To prawda! — przyznałem, przyjrzawszy się dobrze papierowi. — Zdziwiłem się nawet, otrzymawszy to wezwanie, bo sprawa została przecież odłożona, ale podpis wysyłającego telegram...

Wiliam Tharps spojrzał na mnie ironicznie.

— Naiwny jeszcze jesteś, mój kochany — oznajmił mi kategorycznie.

Roześmiałem się głośno.

— Nie wszystkim jest danem mieć bujny umysł i przenikliwość Wiliama Tharpsa — odciąłem żartobliwie.

— No i co będzie z tą podróżą?

— Zostaję oczywiście z tobą.

— Spodziewam się. Chodź, jedźmy teraz do policyi.

Pan Dumont oczekiwał już na nasze przybycie. Komisarz z Saint-Mandé zdał mu już raport o kradzieży papierów profesora Schoetten i pan Dumont również od pierwszej chwili był przekonania, że dwie te sprawy z pensjonatu „Donay“, łączyły się ze sobą, nie mógł tylko odgadnąć ich przyczyny i celu.

Wiliam Tharps życzył sobie, aby policyja poczyniła poszukiwania u niektórych osób, o których przypuszczał, że zawikłane są w sprawę i wymienił kilka nazwisk.

Zdziwiłem się, skąd mógł wiedzieć o istnieniu tych osób, gdyż ja te nazwiska słyszałem po raz pierwszy.

Szef policyi pragnął usilnie usłyszeć opinię mojego przyjaciela i naprowadzał go ciągle zręcznie na zwierzenia. Był on zdania — i na tym punkcie zgadzaliśmy się wszyscy najzupełniej, że przestępcy musieli mieć w pensjonacie oddanych sobie współników.

Uśmiechnąłem się mimowoli, przypomniawszy sobie to, cośmy z Tharpsem wiedzieli o markizie da Santa-Cruza, ale Tharps ani drgnął i nie zdradził się z niczem przed panem Dumont.

Fantastyczny sposób zniknięcia zwłok pana d'Orwalda zainteresował tego ostatniego najsilniej. Ciągłe powracał do tego przedmiotu. Dlaczego ukradziono i wyniesiono zwłoki? Jaka przyczyna była tego źródłem? Czy może obawiano się, że szczegół jakiś, odkryty na ciele zamordowanej ofiary, mógł naprowadzić na ślad przestępcy? I w jaki sposób te zwłoki usunięto? Którędy przeszli wykonawcy tego śmiałego czynu, bo, według wszelkiego prawdopodobieństwa, tej czynności nie mógł dokonać tylko jeden człowiek?

Na wszystkie te pytania, któremi rozgorączkowany szef policyi zarzucał Tharpsa, tenże odpowiadał lekkim uśmiechem lub skinieniem głowy. Wkońcu, widząc, że nie dowie się nic ciekawego od niego, sam dalej monologował, zbijając i krytykując własne pytania. Wiliam Tharps od czasu do czasu rzucił słówko, które jak błyskawica rozjaśniało ciemności, w których błądził nieszczęśliwy pan Dumont.

W raporcie, posłanym mu przez pana Tancon, była wzmianka o pierścieniu d'Orwalda i o znaczeniu poważnym, jakie mu przyznawał Wiliam Tharps. Pan Dumont nie mógł lekceważyć sobie hipotezy sławnego detektywa, opartej zapewne na silnych podstawach, a fakt sekcyi, dokonanej na czwartym palcu ręki zamordowanego, wykazywał jasno, iż chciano za wszelką cenę wejść w posiadanie pierścienia, który w sposób naturalny z palca zesunąć się nie dał.

Szef policyi z pewnem zadowoleniem myślał, że cel morderstwa już został odkryty, ale, aby to zadowolenie wystąpiło w całej pełni, musiałby odkryć również tajemnicę zniknięcia zwłok, jakoteż sposób, w jaki to zniknięcie dokonane zostało.

Pan Dumont bezskutecznie po kilka razy powracał do tego drażniącego go pytania, sądząc, że przecież Wiliam Tharps objawi w tym kierunku swoje zdanie. Zdawało mu się, że już dopiął zamierzonego

celu, kiedy nagle uśmiech, jaki pochwycił na jego twarzy, wytrącił go zupełnie z tej nadziei.

— Pan się śmieje, panie Tharps? Czy dowodzenia moje wydają się panu śmieszne? Musi pan widocznie być lepiej odemnie poinformowany?

— Być może — odparł Tharps wesoło — ale o tyle tylko, o ile powodować się mogą osobiście poczynionymi spostrzeżeniami. Pan był dzisiaj pierwszy na miejscu wypadku i mógł się pan przekonać, że nikt tam nie widział wchodzących lub wychodzących tajemniczych zbrodniarzy.

— Tak było rzeczywiście — odparł pan Dumont — i to się odnosi może do zniknięcia zwłok, lecz co do zbrodni, popełnionej w nocy...

— Ja zaś nie mówię o zniknięciu zwłok. Chcę tylko właśnie zwrócić panu uwagę, że od chwili, w której pokojowa odkryła zbrodnię, do następnego jej powrotu do pokoju upłynął czas bardzo ograniczony. Powróciła w asyście wszystkich gości z pensjonatu i wówczas to spostrzeżono zniknięcie zwłok.

Goście ci zeznali, że zauważyli ślady na łóżku i podłodze ze śniadania, wylanego przez wystraszoną dziewczynę, jakoteż odcisk ciała na prześcieradłach. Nie więc nie pozwala wątpić w prawdziwość zeznań pokojowej. Co do mnie, osobiście uważam, że słowa jej dyktowane były tylko szczerością i prawdą. Ogrodnik zaś, który podówczas pracował w ogrodzie, nie odkrył żadnych śladów kroków na ścieżkach i trawnikach, a tylko tamtędy mogli odejść zbrodniarze, wynosząc ciało.

— I to właśnie jest niezrozumiałe, nieprawdopodobne, wprost niemożliwe! — zawołał pan Dumont — Przecież ludzie, dźwigający ciężar tak znaczny, nie mogli z żaden sposób przejść niespostrzeżeni.

— Nie mogli również ciała wynieść głównym wejściem przez schody, gdyż schodami tymi przebiegali wszyscy mieszkańcy pensjonatu i służba.

Pan Dumont rozpaczliwym ruchem ręce rozłożył.

— Ta sytuacja nie da się w żaden sposób wyjaśnić. — rzekł stanowczo — Jedyne wyjściem z tego labiryntu jest przypuszczenie, że to się absolutnie stać nie mogło.

— Doskonale! Doskonale! — zawołał Tharps.

Spojrzelśmy na niego, zdziwieni tym wykrzyknikiem.

— Co chcesz przez to powiedzieć, mój kochany? — zapytałem go — Wydajesz się być z czegoś zadowolony niezmiernie?

— Czy nie słyszałeś, co powiedział przed chwilą pan Dumont? — odparł Tharps, bystro patrząc na mnie.

— Owszem — ale...

Tharps zwrócił się teraz do pana Dumont i zapytał z przyciskiem i poważnie:

— Czy mogę pana prosić o powtórzenie ostatnio wyrzeczonych słów?

Pan Dumont był tak zaskoczony tem pytaniem, że mruknął coś niezrozumiałego i, coraz silniej zdziwiony, patrzył na Tharpsa.

— Powiedział pan przed chwilą — wymówił dobitnie detektyw — iż uprowadzenie zwłok zamordowanego nie da się w żaden sposób wytłumaczyć?

— Tak jest, przyznaję.

— I że jedynym wyjściem z tego labiryntu jest przypuszczenie, iż się to absolutnie stać nie mogło.

— No tak, ale to było tylko przypuszczenie.

Wiliam Tharps zerwał się z krzesła i stanął przed panem Dumont.

— To nie przypuszczenie, kochany panie! To rzeczywistość.

— Oh! Cóż pan chce przez to powiedzieć?

— Ze zwłoki pana d'Orwalda nie opuściły progów pensjonatu. — wyrzekł stanowczo detektyw.

— Niech się pan dobrze zastanowi nad tą hipotezą. — dodał, opierając rękę na ramieniu dyrektora policyi. — W niej bowiem mieści się cała prawda i rozwiązanie sprawy.

— To niemożliwe! Pan się myli.

— Niemożliwość bywa często podstawą rzeczywistości, panie Dumont! Niech pan o tem nie zapomina.

Nie czekając na dalsze przeczenia dyrektora, Wiliam Tharps wyszedł z gabinetu, pociągając mnie za sobą.

— Będzie miał biedak nad czem teraz głowę sobie łamać. — rzekł do mnie, uśmiechając się z zadowoleniem — Taka gimnastyka mózgu przydałaby się niejednemu naszemu urzędnikowi policyjnemu.

Pan Dumont zaś pozostał sam, rozmyślając poważnie nad znaczeniem ostatnich słów Tharpsa. Nie był pewny, czy detektyw nie zażartował sobie z niego, chcąc w ten sposób uwolnić się od jego natrączywych pytań i nie zdradzić właściwego przekonania o sprawie.

## Nocny napad.

Przy wieczornej herbacie w pensjonacie „Donay“, panowało dnia tego ożywienie niezwykle, w przeciwieństwie do śniadania odbytego w ciężkim milczeniu i niepokoju umysłów.

Rozstrojone nerwy zebranych, szukały jakiegoś ujścia w gorączkowem wypowiedaniu się z wrażeń przeżytych, krytykując i omawiając wypadki dnia i pocieszając się wzajemnie.

Panie drżały na myśl o zbliżającej się nocy, nadającej tragiczniejszy jeszcze odcień wspomnieniu dokonanej zbrodni i skupione w kącie wielkiego salonu, szeptały trwożnie, bezwiednie spoglądając ku drzwiom, w przeczekaniu nowego jakiegoś nieszczęścia.

Wszystkich zaś bez wyjątku objęła niewytłumaczona nieufność. Panowie spoglądali na siebie niechętnie szukając między sobą współnika mordercy, bo według przekonania ogólnego, współnik ten istnieć musiał i ukrywał się pomiędzy gośćmi pani Donay.

Znalezienie walizy profesora Schoettena w pokoju Julki, nie stanowiło jeszcze dowodu jej współnictwa, a w każdym razie nie wyjaśniało przyczyny wstrząsających wypadków dnia.

Pułkownik Ricotte, kilku zręcznie wypowiedzianymi słowami, sprowadził nastrój ogólny na spokojniejsze tory. Starał się ułagodzić niechęć i przestrach niektórych lokatorów, którzy zdenerwowani i drżący o własne niebezpieczeństwo, zamyślali jak najspieszniej opuścić pensjonat, oddziałując w ten sposób niekorzystnie na resztę pozostałych.

Profesor Schoetten zasunięty w głęboki fotel rozpaczal bez przerwy nad stratą drogocennych papierów i narzekał na niedbałość i opieszałość władz policyjnych. A kiedy pułkownik Ricotte chcąc go wprowadzić w dobry humor i wzmocnić odwagę obecnych, wspominał o obecności agentów pozostałych na rozkaz dyrektora w pensjonacie, profesor Schoetten roześmiał się ironicznie i odparł:

— Czy sądzi pan, że to nas uchroni od dalszych zamachów i opieki tych tajemniczych bandytów? Przecież ukradziono mi papiery podczas śledztwa odbytego w pensjonacie, w chwili, kiedy wszystkie drzwi i przejścia były strzeżone!

Pułkownik Ricotte nie znalazł na zarzut ten żadnej odpowiedzi, lecz zauważyłem, że dotknął nie mile markiza da Santa-Cruza. Podniósł się z krzesła i zaczął niecierpliwie przebiegać pokój, narzekając na służbę i twierdząc, że ona tylko jest powodem całego zajścia. Ruchy miał niespokojne i nienaturalne i bystry obserwator byłby odgadł pod tem nagłem, sztucznym ożywieniem, ukrywane pomieszczenie i niepokoje.

Kilkakrotnie zbliżył się do okna i korzystając z uchylenia okiennic, wpatrywał się uporczywie w ciemność zalegającą ogród. Za każdym razem jak gdyby zawiedziony odchodził czyniąc ruch zniecierpliwienia. Poznałem, że oczekuje kogoś i, że bezcelowość tego oczekiwania drażni go.

Ten powtórzony kilkakrotnie manewr, stał się wkrótce tak widocznym, że zwrócił uwagę profesora, który zaczął mu się przypatrywać z zainteresowaniem.

Staruszek lekceważąc sobie zabiegi policyi i pogardliwie traktując jej usiłowania, nie chciał nikomu powierzyć kierunku śledztwa i postanowił sam odśledzić złodzieja, któremu zawdzięczał tak dotkliwą stratę.

Metodyczne zastanawianie się nad genezą sprawy, naprowadziło go na pewność, że współnictwo pomiędzy gośćmi z pensjonatu a zbrodniarzem istnieje i pragnął nić zawiązanej intrygi, jaknajprędzej pochwycić w rękę.

Uzbrojony w wielkie niebieskie okulary, badał każdego z gości pani Donay, przeszywając ich bystem i przenikliwym spojrzeniem.

Wzrastająca nerwowość Hiszpana zastanowiła go i usiadł w ten sposób, aby nie stracić żadnego ruchu.

Po chwili jednak powstał i miarowym krokiem skierował się do okna, badając z kolei ogród otulony w ciemność coraz nieprzenikliwszą.

Dręczyła go silna ciekawość poznania przyczyny niepokoju markiza da Santa-Cruza i twarz jego przybierała dziwnie natężony i skupiony wyraz, podczas kiedy na próżno spojrzenie jego ogarniało ledwo zarysowujące się ścieżki i trawniki ogrodu.

Już od dłuższej chwili samowar znajdujący się na małym stoliku na boku, syczeł przestał i filiżanki opróżnione stały przed gośćmi, a jednak towarzysstwo całe nie zdradzało ochoty powstania od stołu.

W pewnej chwili markiz, który raz jeszcze podszedł do okna pożegnał nagle zebranych, tłumacząc się silnym bólem głowy i koniecznością zacerpnienia świeżego powietrza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)